

Dr. A. Ski.

26825

„Wszelka moralność

jest moralną”

(Uwagi z powodu „Źródeł moralności”
p. A. Świętochowskiego).



Odbitka z „Roli”.

WARSZAWA.

1912.



26825

H-121378

Warszawa. Druk Noskowskiego, Warecka 15, tel. 223-54.

K.
16.3.63
A.108/63
ms

Pięknie się nasz postęp bawi. Od czasu do czasu rzuca manifesty, dokumenty swego istnienia i swych dążeń. Mieliliśmy manifest Żeromskiego, czyn patryotyczny, nawet za pieniądze przez kinematografy spopularyzowany—dla lepszej doli narodu, a głoszący w „Dziejach grzechu”, że człowiek mocą przeznaczenia idzie do zła, do upadku, do negacyi, nawet wtedy, gdy od życia czystego i świętego, od pożywania Anielskiego pokarmu zaczyna; nawet wtedy, gdy za cel swoich działań wziął — dobrze czynić bliźnim i podnosić ich z nędzy moralnej. „Dzieje grzechu” były, w literackiej formie wyrażonem, uprawnieniem zbrodni, nienawiści i grzechów.

Dziś mamy nowy manifest, pochodzący od samego Mistrza Postępu, od prezesa „Kultury Polskiej”, który przemawia już nie w imię uczucia i sztuki, lecz czystej nauki, że wszelka moralność jest moralna.

Do wszystkich tych kierunków, które zwykliśmy obejmować mianem „postępu warszawskiego”, oprócz wielu innych zarzutów, można skierować zarzut pracy rozkładowej moralnych pierwiastków w duszy ludzkiej. Zarzut to ciężki, ale zasłużony. „Postęp” swą literaturą obniża a nawet zabija moralnotwórcze pierwiastki i w ten sposób gotuje wewnątrz dusz ludzkich grunt, na który przyjdzie zasiać swe ziarno i zbierać owoce obca zła ręka.

Zaślepieni, czy nie widzicie, dla kogo pracujecie!

I.

„Źródła moralności” dzieli się na dwie części. W pierwszej jest mowa o teoriach etycznych, w drugiej, od 125 stronnicy, o źródłach moralności. Książkę zamyka zarys teorii. Zdaniem Świętochowskiego, dotychczasowa nauka czy filozofia moralności nie była nauką, lecz „poboczną kazalnica teologii, ulicznym kramem taniej moralistyki, zbiorem praktycznych przepisów cnotliwego życia” i t. d. (str. 11). Nauką staje się dopiero teraz, po poznaniu i uporządkowaniu mnogiego materiału etnologicznego przez Tylora, Westermarcka, Sutherlanda i in. Podwaliny pod nią kładą: Durkheim, Lévy-Bruhl. „Celem tej nauki może być wyłącznie poznanie istoty i rozwoju moralności we wszelkich jej postaciach i stosunkach, oraz związanie jej objawów w ogólne prawa, niezależne od reguł etycznych, stosowanych i obowiązujących w rozmaitych warunkach miejsca i czasu” (str. 35). Niemasz bowiem moralności dobrej i złej, wszelka moralność jest moralna; niema powszechnych praw moralnych, chyba to jedno, aby nie unicestwiać istot podobnych. Człowiek powoli podnosił się ze stanu zwierzęcego, odziedziczył też po swoich poprzednikach zwierzęcych pewne usposobienia organiczne i obyczaje, z których wytworzyła się z czasem jego moralność. Współczynnikami tego wytworzenia się moralności, która do pewnego stopnia jest przejawem koniecznym (str. 277), były w wyższej mierze popędy bezwiedne, niż władze umysłowe świadome, dlatego, że inteligencya człowieka pierwotnego była bardzo mierna i że instynkty narzucają się człowiekowi z siłą rozkazującą. Z tych instynktów najważniejszymi były: dążność do utrwalenia życia osobnika i dążność do utrwalenia życia rodzaju. Pierwsza objawia się najwyraźniej w pożądaniu własności, jest egoistyczna, i dlatego w ścieraniu się tych dążeń samolubnych rozstrzygające znaczenie posiada siła, która rodzi własność i pochodzącą od niej władzę. Siła jest przy mężczyźnie, on też jest prawie wyłącznym twórcą moralności pierwotnej, opartej na przewadze, na strzeżeniu swojej własności względem narzędzi pracy, żony, dzieci, niewolników, podwładnych i t. d. Pierwszym zaś i najważniejszym tworem drugiej dążeń, instynktu

plciowego, jest rodzina. W rodzinie, która była pierwotnie własnością mężczyzny jedynie, dokonała się głęboka zmiana w moralnem usposobieniu człowieka: pod wpływem kobiety i dzieci wytworzyły się te uczucia, które wchodzą w skład sympatii i miłości. Do tych czynników przyłączyły się inne. I tak więc, pod wpływem coraz nowych potrzeb i stosunków życiowych oraz postępu wiedzy, moralność przeszła długą kolej rozwoju, od prostych odruchów uczuciowych i skojarzeń, aż do wzniosłych zasad kultury nowoczesnej.

Tak, w streszczeniu, przedstawiają się „Źródła moralności”.

II.

Jak wspomniałem, p. Świętochowski podzielił swą książkę na dwie części, ale ta historia etyki o źródłach moralności i samo opracowanie źródeł moralności nie wiążą się ze sobą. Są to dwie części położone obok siebie, nie złączone żadnymi wnioskami. Historia etyki nie wpływa wcale na dalsze wywody autora; nawet w zarysie teorii, który jest rekapitulacją książki, niema wcale wzmianki o tych wnioskach, do których powinno było doprowadzić rozpatrzenie się w dziełach teorii etycznych.

To niezwiązanie organiczne dwóch części nie jest wynikiem niemożności zdobycia się na wnioski, ani zwyczajnem przeoczeniem, lecz objawem, może nawet mimowolnym, podstawowej błędności wywodów autora. Jeżeli bowiem dotychczasowa etyka nie była naprawdę nauką, to cóż z niej można za korzyść wyciągnąć dla prawdziwej nauki etyki? Z punktu widzenia autora — nic. Ale poco, w takim razie, autor wypisuje i omawia cały szereg teorii etycznych, którym odmawia wartości naukowej? Czyż nie logiczniej postępują ci pisarze, którzy wyznając pozytywizm w filozofii, pomijają w swych dziełach zupełnie metafizykę, chyba że piszą historię filozofii? Już zaś wprost niezrozumiale i całkowicie niekonsekwentne jest oświadczenie autora, że uczyniony przezeń przegląd pojmowań o rodowodzie moralności ma ułatwić dokładne zrozumienie treści podjętego zagadnienia (str. 125). Jakie światło mogą rzucić na zrozu-

mienie zagadnienia o powstaniu moralności teorye, którym się odmawia naukowej wartości?

Atoli jest rzecz stokroć gorsza. Autor w dziele, które ma być naukowem, nietylko nie przeprowadził logicznie swej metody, ale nadto, posługiwał się metodą nie mającą nic wspólnego z naukowością.

Przytoczona powyżej teoria autora ładnie i logicznie wygląda, ale też jest fikcją, abstrakcyjną konstrukcją, narzuconą rzeczywistości a nie z niej wziętą. A przecież autor opiera się na faktach, które rzuca całemi garściami! Tak, autor rzuca fakty całemi garściami, i to właśnie rzucanie stanowi zasadniczy grzech jego metody.

Kiedy fakt życiowy może mieć wartość dowodliwą? Wtedy, gdy pozostaje w swoim środowisku, gdy go się bierze w takim oświetleniu i w takich warunkach, w jakich stanowił przejaw życia. Takie pojmowanie rzeczy cechuje prace Durkheima, o których autor kilkakrotnie wspomina i które chwali. Ono też przebija się w tem *motto*, które wziął z Durkheima i położył na czele swej książki, że „przyczyn, tłumaczących zjawiska społeczne, trzeba szukać między poprzednimi faktami społecznymi, a nie w stanach świadomości”.

Tymczasem p. Świętochowski, wygłosiwszy teorię, pozbiarał fakty łapu-capu, z różnych krajów, z różnych cywilizacji, wydzielił je z naturalnego środowiska i otoczenia, zerwał węzeł z poprzedzającemi je przyczynami oraz współczesnemi im zjawiskami, i tak ogołoczone, wykrojone, rzucił na głowę oszołomionego i przytłoczonego czytelnika. I jeszcze się chwali: „Przytoczone wyżej zjawiska dostrzeżone zostały na różnych stopniach rozwoju i w różnych warunkach życia ludów pierwotnych, istniejących obecnie, które podlegają licznym zmianom i wynaturzeniom, zwłaszcza pod rozkładowym wpływem cywilizacji nowoczesnej” (str. 169). Tak, ale to właśnie stanowi nienaukowość metody autora, że fakty „dostrzeżone na różnych stopniach rozwoju i w różnych warunkach życia”, dla udowodnienia swoich poglądów, wydzielił z tej różnorodności stopni rozwoju i warunków, i przez to je postawił w nijakich warunkach, wynaturzone.

Z jednych i tych samych cegieł—proszę mi darować grube, ale dosadne porównanie — można wybudować i dom mieszkalny, i kościół, i muzeum sztuki, i dom rozpusty. Z gołych faktów, branych ze wszystkich stron, można zbudować wszystko, co się chce, gdyż przez takie wykrojenie tracą one swą charakterystyczność i nadają się do wszystkiego.

Autor pokpiwa z filozofów niemieckich, że „rozmyślają ciągle nad wynalezieniem nowego imperatywu kategorycznego, ogólnej etyczno-matematycznej formuły, z której dałyby się wyprowadzić przepisy szczegółowe obowiązujące ludzi we wszystkich czasach i miejscach. A życie drwi niemiłosiernie z tych daremnych wysiłków” (str. 86). Ależ, co innego zrobił sam autor? Wszak i on stworzył sobie taką fikcję, taką ogólną etyczno-matematyczną formułę na wszystkie czasy i miejsca. Stworzył sobie bowiem jednolite prawo powstawania moralności we wszystkich społeczeństwach i czasach. Jakie? Ano, był sobie najpierw Człowiek, złożony przedewszystkiem z instynktów, zwłaszcza z dwóch: samozachowawczego i rozrodczego. Instynkt pierwszy wymagał, żeby w grę weszło przyswajanie sobie własności siłą i bronienie jej siłą, przyszła więc siła i własność. Instynkt drugi logicznie się łączy z rodziną a rodzina z uczuciami miłości i sympatii, więc autor w życiu instynktowego człowieka znalazł miłość i sympatyę. Potem zanikły instynkty a wzmógł się rozum, i on, przy współdziałaniu innych czynników, wytwarzał moralność.

Dlaczego autor zaczął od instynktu a nie od rozumu, i dlaczego tamtemu nad tym dał przewagę? Dlatego, że człowiek dziki „jest w swych pobudkach i pragnieniach bliższy goryla, niż ojca rodziny i gospodarza” (str. 148), a zwierzę kieruje się przedewszystkiem instynktami.

I tu znów spotykamy słabą stronę metody autora. Na jakiej zasadzie autor twierdzi, że ludzie odziedziczyli po zwierzętach pewną moralność? To dziedzictwo moralności, jak i sama, przeważnie instynktowa, natura pierwotnego człowieka jest konstrukcją *a priori*. Autor nie oparł się na poznaniu dokładnem ludzi, których znamy i których uważamy za najpierwotniejszych, ale dla swojej teorii zbudował sobie swojego człowieka.

„Wysuwali się oni (pierwsi ludzie) — powiada autor—ze świata zwierzęcego powoli, w ciągu tysięcy lat, przechodząc przez stany i postacie pośrednie, które zupełnie zaginęły, jako brakujące ogniwa przerwanej łańcucha organizmów, ale które kiedyś spajające go musiały (!). Jeżeli przeto zapytamy, co w zakresie moralności człowiek odziedziczył po najbliższych mu biologicznie zwierzętach, to odpowiedź może być tylko bardzo ogólna, gdyż nie wiemy wcale, jaka była istota, która na przód zyskała to miano, i jakie wiodła życie. Najprawdopodobniejszym wydaje się domniemanie, że ludzie pierwotni rodzili się ze spletem instynktów, którym już przyświecała drobna inteligencja, określająca wraz z nimi normy postępowania” (str. 268—269). Pochwalić tylko można p. Świętochowskiego za tę sumienność, z jaką zaznacza, że wywody materialistów o stanie pierwotnego człowieka są bajką, wymysłem, potrzebnym do powziętej z góry teoryi, a nie obrazem faktycznego stanu rzeczy. Jeśli odrzucimy nadprzyrodzone i historyczne świadectwo Biblii, to rzeczywiście o tem, jaki był pierwszy człowiek, nic nie możemy powiedzieć. Nie mamy żadnych świadectw jego kultury. Wiadomości, które posiadamy o najstarszem życiu ludzkim, odnoszą się do ludzi znanych w archeologii przedhistorycznej, i do współczesnych ludów dzikich. Uczony tylko na tych wiadomościach może opierać swe wywody. Atoli wspomniane ludy nie wykazują pokrewieństwa ze zwierzętami, więc materialści szukają pośrednich ogniów, które jakoby musiały być.

III.

Wywody p. Świętochowskiego, dotyczące wpływu instynktu, życia rodzinnego, opinii i t. d. na powstawanie moralności, są naogół słuszną, ale trzeba im dać właściwy podkład — czego p. Świętochowski nie czyni.

W sprawie powstawania praw moralnych, trzeba odróżnić stronę przedmiotową tego zagadnienia od podmiotowej. Zdaje się, słuszną to będzie i metodyczną, ażeby najpierw zbadać, czy istnieje jakiś przedmiotowy porządek moralny, niezależny od woli i poznania ludz-

kiego, a potem, jeżeli taki porządek istnieje, w jaki sposób człowiek dochodzi do poznania go.

Że istnieje pewien porządek moralny, niezależny, narzucający się z siłą przymusu człowiekowi, o tem świadczy świadomość ludzka. Zarówno człowiek niecywilizowany, jak cywilizowany, jak i uczony, zdają sobie sprawę z tego, że nie są twórcami moralności, że dobroć lub złość jakiegoś czynu nie od nich zależy. Jak cały wszechświat podlega prawom fizycznym, od których odstąpić nie może, tak samo i dla działalności człowieka jest prawo przyrodzone, prawo moralne. Wprawdzie człowiek może się nie stosować do tego prawa w swej działalności, ale wtedy następuje to, coby nastąpiło, gdyby był nieożywiony mógł się niestosować do przyrodzonego prawa fizycznego: nieporządek, wstrząśnienie, zwyrodnienie. Niezachowanie pewnego porządku w postępowaniu ludzkim, np. uprawianie kradzieży, niemoralności, pijaństwa, podstępu, nie tylko sprowadza mniejsze lub większe wynaturzenie i upadek człowieka, lecz także społeczeństwa. To są rzeczy powszechnie znane. Tak kwiat, pozbawiony światła przedwcześnie więdnie i ginie. I nie może być inaczej, albowiem człowiek, jak zresztą wszelki inny twór, musi mieć pewien cel. Jedne z czynności, które człowiek spełnia, są zgodne z tym celem, inne są niezgodne i muszą wprowadzać zamieszanie do ludzkiego życia. Na tej właśnie zgodności działania ludzkiego z celem, który ze swej strony pozostaje w związku z naturą człowieka, opiera się porządek moralny przyrodzony.

Istnienie takiego porządku moralnego można potwierdzić w inny sposób. Skoro teologia naturalna dowiodła, że Bóg jest i rządzi światem, to etyka może stąd wyprowadzić wniosek, iż ten Bóg również i dla woli oraz umysłu człowieka musiał ustanowić jakiś porządek, którego zachowanie jest koniecznym warunkiem normalnego funkcjonowania życia ludzkiego w dziedzinie moralnej.

W jaki sposób człowiek przychodzi do poznania tego porządku? Czy jego znajomość posiadał odrazu drogą objawienia pierwotnego i przekazywał ją z pokolenia w pokolenie? Czy może to pierwotne objawienie zatracił tak, że ledwie ślady z niego pozostały,

i sam musiał własną pracą, ciężkiem i bolesnem doświadczeniem dochodzić do znajomości prawa moralnego? Czy może odrazu musiał wejść na tę drogę, błąkać się i trudzić, nie mając pomocy w pierwotnem objawieniu?

O ile nauka potrafiła wykryć ślady i świadectwa życia ludzkiego w przeszłości dawno zamartej, to zdaje się, że życie najstarsze, o którem świadczy przedhistorja, jak i życie plemion najpierwotniejszych jest bardzo proste, mało złożone i splecione, pozbawione przewrotności ludów barbarzyńskich i cywilizowanych, a kierujące się najprostszemi zasadami prawa przyrodzonego. Więc być może, że rozum, wiążąc i łącząc zjawiska swego doświadczenia, własną pracą doszedł do poznania praw moralnych. Zarówno rozum, jak instynkty, jak uczucia, jak współzycie, zwłaszcza rodzinne, jak walka o byt i utrzymanie, jak poczucie osobniczej nieudolności i t. d. miały doniosły lub mniej ważny udział w wytwarzaniu moralności.

My chrześciance, a jak miemam i wszyscy deiscy, nie bezzasadnie wierzymy nadto, że w tej pracy twórczej jednego z najpiękniejszych dzieł ludzkich człowiek był wspomagany przez dobrotliwego Boga drogą specjalnych pouczeń, natchnień, objawień. „Rozmaicie i wielu sposobami mówiwszy dawno Bóg ojcom przez proroków, naostatek tych dni mówił do nas przez Syna”, oświadcza św. Paweł Apostoł (Żyd. I, 1).

Na zakończenie tych uwag, możnaby zadać sobie pytanie, czy ten porządek moralny został o tyle poznany przez ludzi, aby można było mówić o powszechnych regułach moralności?

Autor odpowiada przecząco: „Jest to dziś stwierdzonym faktem (!) — mówi p. Św. — że niema ani jednej cnoty (!), któraby gdziekolwiek i kiedykolwiek nie była występkiem, i niema ani jednego występku (!), któryby nie był cnotą” (!). Autor lubi rozmach pióra. Przypuszczam, że byłoby trudno dowieść, iż w jakimś narodzie, lub w jakimś czasie, dajmytno, miłość dzieci ku rodzicom, rodziców ku dzieciom, dotrzymywanie umów, oddanie tego, co się komu należy, i t. p. było występkiem.

Zaprzeczywszy całkowicie powszechności reguł

moralnych (oczywiście, autor nie odróżnia powszechności praw moralnych w porządku przedmiotowym i powszechności w poznaniu i stosowaniu), p. Świętochowski czyni jednak pewien wyjątek: „Obowiązek szanowania życia istoty podobnej jest najpowszechniejszym objawem, ale nie bezwzględnie powszechnem prawem moralnem” (str. 268). Ma to już pewne znaczenie.

Idąc jednak za A. Le Roy, możemy śmiało powiedzieć, że „jak poza ich (ludów pierwotnych) wierzeniami znaleźliśmy niewidzialną i oddaloną obecność Najwyższego Bytu, tak i tu, poza ich moralnością, jako jej podstawę, znajdujemy uczucie sprawiedliwości, złączone z pewną skłonnością do dobra i pewną odrazą do zła”. *)

Tą ideą sprawiedliwości jest przesiąknięte, przynajmniej pierwotnie, tabu. Człowiek, biorąc swobodnie dla siebie to, co mu zostawiła przyroda, wierzył, że powinien się wstrzymać od przyswajania sobie tego, co Pan świata w jakikolwiek sposób zachował dla siebie. Dzieci uważają za swą powinność miłowanie rodziców, przebywanie z nimi, bronienie ich, ale jeśli zabijają starych rodziców, to nie z braku miłości. Ludy pierwotne wierzą powszechnie, że stan człowieka pozagrobowy zależy znacznie od fizycznej sprawności tutejszej. Aby więc rodzice nie byli nieszczęśliwi w życiu przyszłym, jako niedołęzni, dzieci nie czekają ich śmierci naturalnej. Nie zasada jest zła, jeno rozumowanie, oparte na błędnych i jednostronnych przesłankach. Na takich samych błędnych przesłankach opiera się dzieciobójstwo, gdyż — oczywiście, niema tu i w innych wypadkach mowy o zwyrodnieniu moralnem — gdyż na śmierć skazywane są dzieci dla jakiegobądź powodu „złe” urodzone, mogące sprawić zamieszanie w życiu plemienia lub rodziny, albościągnąć gniew boży. I postępowanie mężczyzny wobec kobiety tłumaczy się temiz błędnymi przesłankami, że ona jest jego własnością, gdyż ją kupił. Może ją więc sprzedać, darować, pożyczyć, ale jeśli ją kto bierze bez jego pozwolenia, musi dać odszkodowanie.

*) Le Roy. *Religia ludów pierwotnych*. Warszawa, 1912, str. 143.

przeciwreligijne,—gdyby to nie było zbyt smutne i zbyt kompromitujące dla nauki polskiej.

Z pozostałych poglądów autora na stosunek moralności do religii rozpatrzmy dwa. Pierwszy tak został wypowiedziany: „Między moralnością a religią zachodzi dość luźny związek, oparty głównie na obawie kary pośmiertnej” (str. 237), i: „Religia, jako steoretyzowana fikcja, sama przez się nie zawiera źródeł moralności, które kryją się wyłącznie w życiu, ale jest jednym z najbardziej utrwalających ją środków” (str. 281).

Religia sama przez się nie zawiera źródeł moralności. Twierdzenie powyższe pozostaje w sprzeczności z samem pojęciem religii. Religia bowiem oznacza ogół stosunków, które zachodzą między człowiekiem i światem nadprzyrodzonym, ogół czynności zarówno tych, które człowiek uważa za swój obowiązek powinności należnej względem tego świata, jak i tych, zapomocą których świat nadprzyrodzony wpływa na człowieka, kieruje nim i opiekuje się. To pojęcie religii, które można zastosować do najbardziej pierwotnej i do najwyższej, gdyż każda z nich zawiera składnik zależności niedowolnej od świata pozaludzkiego, nadaje wszelkiej religii cechy instytucji moralnej. Człowiek religijny, przez to samo że jest religijny, t. j. że wierzy w Boga, lub przynajmniej w Istoty wyższe, czuje się obowiązany do spełniania takich lub innych czynności, do takiego lub innego postępowania. Religia bowiem, ta rzeczywista religia, którą wyznawały i wyznają miliony, nie tylko nie jest „wiedzą fantazyjną” (str. 233), ale nawet wyłącznie wiedzą. Jest ona wiedzą o świecie nadnaturalnym i o podstawowych zagadnieniach powstania i celu człowieka w świetle tamtej wiedzy o świecie nadnaturalnym, ale zarazem obowiązkiem, narzucającym się człowiekowi w imię jego zależności od owego nadświata i skłaniającym go do ujawniania swych uczuć w formie kultu.

Tak się rzecz przedstawia teoretycznie. W życiu zaś, czy między religią i moralnością zachodzi związek i jaki? W religiach ludów niecywilizowanych istnieli bogowie dobrzy i źli. Wszelako ci źli bogowie, nieraz mocni i straszni dla człowieka, a wskutek tego w świadomości ludzkiej i w okazywaniu im swej zależności

przez ludzi bardziej naprzód wysunięci, nie należą właściwie do religii, w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz do magii. Do religii należy Bóg z mocą kierowniczą, Pan świata, oraz duchy dobre. W zasadzie sprawa to jednak podrzędna, gdyż prawie w żadnej religii niecywilizowanej Bóg ani duchy, dobre czy złe, nie są uważane przez ludzi jako wzory postępowania, jako wzory idealu moralnego, któryby należało naśladować. Świat nadprzyrodzony jest przedewszystkiem władcą człowieka i świata widzialnego, władcą, wymagającym spełnienia pewnych czynności, takiego lub innego zachowania się.

Wyrazem tej zależności było pierwotnie tabu. Etnologia ustaliła fakt, że człowiek, o ile go znamy na podstawie jakichkolwiek śladów, był człowiekiem religijnym; jako religijny, uznawał swą zależność od świata nadprzyrodzonego, wyrażającą się w tem, że nie wolno mu wszystkiego używać wedle swojej tylko woli. Właścicielem jest świat nadprzyrodzony, który pozwala używać rzeczy widzialnych, ale pod pewnymi warunkami, a niektórych zupełnie zabrania. Gdy się człowiek w ten lub inny sposób przekonał (sen, choroba po spożyciu jakiegoś owocu, nieszczęście jakieś i t. d.), że ta lub inna rzecz jest wzbroniona, ogłaszał ją za świętą, za tabu, za zarezerwowaną dla Pana świata, której bezkarnie ruszać nie można, chyba że się wpierv ofiarę temu Panu złoży. „Więc pogląd pierwotny tak się przedstawia w całości: na dole świat świecki, świat tych, którzy chcą i mogą się nim dla siebie posługiwać bez zwracania na cokolwiek uwagi, bez spełniania ceremonii; w górze świat nadprzyrodzony, który nam się staje dostępnym dzięki niejako mistycznej drabinie, uzewnętrznionej w obrzędach religijnych, i między nimi świat święty, czyli tabu, świat, który ma w sobie coś z jednego i drugiego, który przeto przypuszcza istnienie jednego i drugiego. Z drugiej strony, temu poszanowaniu dla najwyższego Pana wszechświata, tej obawie wobec przyrody i ożywiających ją duchów, jako początkowym i ogólnym przyczynom tabu, temu uczuciu religijnemu musi z konieczności towarzyszyć poczucie moralne. Jeśli bowiem odczuwam, że nie powinienem ruszać tego lub innego przedmiotu, gdyż go bodaj zastrzegł dla siebie świat nadprzyrodzony, to dlatego, iż jednocze-

śnie mam świadomość, jako niesprawiedliwą i złą jest rzeczą przyswajać sobie to, co do mnie nie należy. Przeto zachowanie zakazu będzie dobrem, przestąpienie go — złem, t. j. grzechem, który plami i sprowadza winę, a zgładzony może być przez „odpuszczenie”, czyli darowanie.” *)

Mimochodem zaznaczyć muszę, że autor uważa tabu za obronę prawa własności ludzkiej, a dokładniej męskiej! (str. 174).

Wśród ludów australijskich, Bóg najwyższy, Nurrundere u Norrinyeri, Nurelli u Wimbaio, Bunjil u Wurrunjerrii, Wotjobaluków, Mungan ngaua u Kurnai, Altjira u Aruntów i t. d., jest dawcą praw moralnych, ich stróżem, wynagradza za dobre, karze za złe postępowanie. (por. prace: Howitt, *The Native tribes of South East-Australia*, 1904, i Leonardi Strehlow, *Die Aranda-u. Loritia-Stämme in Zentral-Australien*, I. 1907). Podobnie Puluga Andamańczyków, których Sutherland nazywa dzikimi niższymi, Puluga znający nawet myśli człowieka, gniewa się na grzechy, jak kłamstwo, oszukaństwo, kradzież, zabójstwo, cudzołóstwo. (Por. E. Man, *On the Aboriginal Inhabitants of the Andaman Islands*, 1883). Semangowie (u Sutherlanda dzicy niżsi) w czasie burzy, zmieszawszy krople krwi i wody, rzucają tę mieszaninę w górę, ku niebu, na znak żalu za swoje grzechy. Wtedy Kari, Istota najwyższa, przeblagany, wstrzymuje grzmoty i pioruny. (W. Skeat i Blagden, *Races of the Malay Peninsula*. 1906.)

Co więcej, A. Lang niezbitnie dowiódł, że Istoty Najwyższe najbardziej pierwotnych i najniższych ludów (Australijczycy, Pigmejowie), nie posiadające osobnych świątyń, ani osobnego kultu, wymagały jednak od ludzi, jako oznakę czci dla siebie, wierności dla swoich przykazań i cnotliwego życia. (Por. *Magic and Religion; The Making of Religion* i in.)

Jeśli mogły być jakie wątpliwości co do związku między religią a moralnością, w dziedzinie religii pierwotnych, to już żadnej wątpliwości nie może być co do chrześcijaństwa. Chrystus ogłosił prawo, że niemasz miłości Boga bez miłości bliźniego. „Rzekł Jezus: Będziesz

*) Le Roy. *Religia ludów pierwotnych*. „Bibl. dzieł chrz.”, 1912. str. 157—158.

miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach wszystkich Zakon zależy i prorocy" (Mat. 5.22). To samo św. Jakób: „Wiara bez uczynków martwa jest”.

Oczywiście, podstawą umoralniającego wpływu religii na człowieka nie jest przedewszystkiem obawa kary, lecz miłość Boga, jako najwyższego ideału miłości i świętości.

Rozwijając dalej omawiane tutaj zagadnienie, autor zakpił ze swoich czytelników a zapewne i z samego siebie. Powiada (za Westermarckiem), że stwierdzono, iż wyższemu stopniowi dewocyi religijnej towarzyszy często wielkie rozluźnienie obyczajów, że „Neapol, który w Europie dosięgnął najwyższego szczytu występków przeciw osobom, jest najreligijniejszem miastem”, że „słynny Macoch naprzód ogłusza brata siostrę, potem konającego dysponuje na śmierć” i t. d. (str. 237—238). Poprzestaję na tych paru przykładach.

Uderza przedewszystkiem dziwne — przeoczenie. P. Świętochowski stawia tezę, że między moralnością a religią zachodzi dość luźny związek, na potwierdzenie zaś tej tezy przytacza pisarzy, którzy mówią przeważnie o dewocyi religijnej, o praktykach religijnych, o bigoteryi. Czyżby autor nie odczuwał różnicy między religią a dewocją i bigoteryą? Jeśli tego nie odczuwał, to, jako uczony, powinien był wiedzieć, że co innego jest religia a co innego zabobon religijny, tak, jak co innego jest nauka a co innego szarlataneria i sekciarstwo naukowe, i jako sumienny obserwator, że co innego jest człowiek religijny a co innego obłudnik zabobonny, choćby w szacie zakonnika.

Jeśli autor chciał zobaczyć, jakie skutki, ze względu na moralne postępowanie, sprawia religia, powinien był zapoznać się z życiem ludzi naprawdę religijnych, których Kościół pod korcem nie chowa, a których nazywa świętymi, od N. Maryi Panny, Piotra i Pawła począwszy, poprzez Augustynów, Ambrożych, Tomaszów, Wincentych à Paulo, Franciszków Saleznych i Ksawerych, Teresy, Agnieszki, Jadwigi, aż do dni naszych;



powinien był zejść do Katakumb i tam wsłuchać się w szmer wieków, wpatrzeć w pomniki i nagrobki; powinien był pójść do misjonarzy i przebieść z nimi głuche, puste i dzikie lasy afrykańskie, zamieszkać wśród trędowatych, z Szarytkami wejść do szpitali i domów dla obłąkanych; powinien był też zajrzeć do klasztoru lub zgromadzenia, którego stan za wzorowy został uznany; powinien był z prostotą serca i gołębią szczerością stanąć w izbie robotnika i robotnicy, patrzeć na ich pracę, na godne znoszenie ciężarów swego życia, ciężarów ojcowstwa i macierzyństwa, na ich miłość wzajemną i zaparcie się siebie, na ich modlitwę i ofiarę, na całe ich życie, które jest jednym trudem, dostojnie znoszonym dla idei przez siebie ukochanej, dla Boga, który jest w Niebiesiech. Gdyby autor wejrział w problemat taki jak był powinien to uczynić, nie byłby plótl dubów smalonych o religijności Macocha,— ale też wtedy nie byłoby sensacyi i grania na nerwach przeciwireligijnych.

Niedawno ukazała się książka Konczyńskiego o moralności mieszkańców Królestwa Polskiego, na podstawie statystyki kryminalnej. Z przytoczonych danych widać, że najmniejszą bezwzględnie i względnie przestępczością odznacza się kler świecki i zakonny, zakonnice i osoby biorące udział w służbie Bożej. W okresie od 1897 do 1906 roku kler i niższa służba kościelna dostarczyła przeciętnie tylko 20.9 skazanych przez wszystkie sądy, w stosunku do 100,000 ludności tej kategorii *), zakonnice zaś i kobiety, należące do rodzin osób, zatrudnionych służbą kościelną, dostarczają tylko 0.5 skazanych. **) To powinnyby autora skłonić do rewizyi swoich pojęć.

Czyż wobec wszystkich powyższych dowodów i wywodów można przeczyć związku moralności z religią?

Drugi pogląd autora w zakresie jego zapatrywań na stosunek religii do moralności, który chcę krótko wyjaśnić, jest taki: „Religia jest zawsze wiedzą fantazyjną, i w miarę, jak wiedza ścisła rozszerza pole po-

*) J. Konczyński. *Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie statystyki kryminalnej*. Warszawa. 1911. Str. 116.

**) Tamże. Str. 120.

znania, tamta je traci i zacieśnia się do sfery tajemnic niezbadanych" (253—254). Czem jest religia, wspomniałem już o tem. To, co autor nazywa religią, jest magią i mitologią, ale nigdy religią. Dziedzina religii jest różna od dziedziny magii i mitologii. Te ostatnie, jak mówi Lang, mogą być i są nauką pierwotną, filozofią pierwotną, historią pierwotną, poezją pierwotną nawet, ale nigdy nie były religią. Brak im bowiem cechy przymusu i obowiązkowości wobec nadświata. W miarę wzrostu wiedzy nie religia zmniejsza swój zakres, lecz magia i mitologia, t. j. nienaukowe, bezkrytyczne, oparte na błędnej obserwacji i błędnem rozumowaniu zużytkowanie sił, ożywiających przyrodę, na swój pożytek i także tłumaczenie powstania i rozwoju wszechświata, żywego i martwego. Wprawdzie w świecie pierwotnym religia często miesza się z magią i mitologią, ale uczonemu, po pracach Langa, Lagrange'a, Le Roy, Jevons'a i innych, nie wolno tych pojęć mieszać, gdyż się wtedy staje na stanowisku zacofanem.

V.

Wszelką teorię naukową można i należy oceniać nie tylko ze względu na jej wartość naukową, ale także ze względu na jej możliwe skutki dla życia narodowego. A to dla dwóch powodów. Najpierw dlatego, że każda teoria, każda książka jest czynem ludzkim i przeto człowiek jest za nią odpowiedzialny, tak jak jest odpowiedzialny za kradzież, za demoralizację, za podanie ręki nieszczęśliwemu, za pouczenie i t. d. Powtóre dlatego, że już w ciągu dziejów myśli ludzkiej tyle teorii, bezwzględnie naukowych i postępowych, „tyle ostatnich wyrazów wiedzy” upadło i upada (porównaj, np. materializm filozoficzny, pozytywizm, prawo biogenetyczne, teorię, że źródłem religii oszukaństwa kapłanów, teorię mitologiczną Müllera), że zwyczajna roztropność radzi zachowanie ostrożności. Zresztą teorie naukowe odbijają się na życiu, dobro zaś narodu jest zbyt poważną stawką, aby je narażać na eksperymenty wszelkiej teorii, choćby nawet bardzo naukowej, ale mogącej z czasem podzielić los — innych teorii i „światopoglądów”.

W „Źródłach moralności” są ustępy, które muszą przejąć niepokojem i ostrym sądem wywołać.

Jestto naprzód pogląd, że wszelka moralność jest moralną. „Każdy system norm postępowania, obowiązujących w danym czasie i miejscu, jest systemem moralności, chociażby on jaknajbardziej różnił się od naszych” (str. 266). Zdanie to możnaby wprawdzie tłumaczyć w tem znaczeniu, że wszelki rodzaj postępowania, jako przedmiot nauki, ma jednakową wartość. Wskazuje na to ustęp, gdzie jest mowa, że „dla niej (t. j. dla nauki etyki) wszelka powinność jest tylko bytem, przedmiotem badania, wszelkie jej normy są równoprawnione, chociaż jedne z nich, porównane z innymi, mogą być rozwojowo niższe lub wyższe” (str. 35). Takiej jednak interpretacji sprzeciwia się zdanie konkluzyjne: „Wszelka zatem moralność jest moralna” (str. 267) i uznanie pewnego mechanizmu w rozwoju moralności: „Jest ona (moralność) odbiciem konieczności. Nie w tem bezwzględnem znaczeniu, w jakim pojmujemy objawy sił mechanicznych i w jakim ponieważ uznaje ją Spencer, gdyż wtedy nie przedstawiałaby tylu rozmaitych odmian, lecz zupełną lub większą jednorodność, ale w tem, że zawsze stanowi naturalny wynik zespolenia ludzkiego. Innemi słowy—dana grupa ludzka w pewnym czasie i miejscu może mieć tylko taką moralność, jaką posiada. Innej ani sama nie wytworzy, ani zzewnątrz nie przyjmie. Jestto wypadkowa bardzo złożonego działania wielu czynników psychicznych, których ściśle określić nie możemy” (str. 277—278). Wobec tego więc, że dana grupa społeczna nie może zmienić swojej moralności, ale jest skazana na taki lub inny rodzaj postępowania, zależnie od stopnia rozwoju, trzeba zawnioskować, zupełnie logicznie, że wszelka moralność jest moralną.

Jakie znaczenie dla naszego życia narodowego może mieć taka teoria? Naród nasz stacza ciężką walkę, w której się hartuje, ale która też wyczerpuje go, osłabia, kaleczy, zrywa przyrodzone więzy, wytwarza stan zgorzknienia, zniecierpliwienia, naprężenia nerwów. Żeby w tej walce nie upadł, nie „gwizdnął” z rozpaczny na wszystko, żeby rozstrojonymi nerwami nakazał spokój a zniechęcenie zastąpił nadzieją i wiarą w zwycięstwo, musi mieć wiarę w słuszność swej sprawy. Wiarę tę będzie miał tylko wtedy, kiedy będzie przekonany, że jest postępowanie złe i dobre zasadni-

czo, że na mocy naturalnego porządku rzeczy to jest sprawiedliwe a tamto niesprawiedliwe, — kiedy wobec przemocy będzie się mógł odwołać do wyższego prawa sprawiedliwości i słuszności. Gdy jednak uzna, że wszelka moralność jest moralna, że moralność hakatysty jest moralna, że moralność czarnosecińca jest moralna, że moralność molojca lub litwina-szowinisty jest moralna, co za atut wystawi w obronie swej sprawy? Wojsko? kapitały? Protekcję możnych państw? Kiedy tego wszystkiego nie ma. Na wszelkie wywody hakatysta i czarnosecinieć odpowie mu: ja mam rację, bo moja moralność, jako system norm postępowania, obowiązujących w danym czasie i miejscu, jest moralną, a że przytem jestem silniejszy, tem większą mam słuszność. I gdy uzna, że wszelka moralność jest moralna, na czem oprze swe przekonanie, wiarę w lepszą przyszłość? skąd zaczerpnie siły, aby mieć nadzieję naprzekór wszystkiemu? Jeżeli hakatysta i czarnosecinieć ma słuszność, tak jak on ją ma, i jeżeli ten hakatysta i ten czarnosecinieć ma siłę fizyczną, której on nie ma, to musi czarna rozpacz stanąć u progu domu jego. A rozpacz, zwątpienie o zwycięstwie swej sprawy, to koniec wszystkiego.

Udowadniać nie trzeba, że przyszłość nasza od wartości jednostek zależy, a wartość jednostek od ich wartości moralnej. To, co gdzieindziej robią instytucje państwowe, które podtrzymują byt, gdy nawet duch uleciał, i w ten sposób mogą przetrzymać ciężkie dla narodu chwile, my musimy robić sami. Otóż teoria autora osłabia w nas i tak już słaby pod wpływem kultury wschodniej pęd do pracy nad udoskonaleniem moralnem osobistem najpierw dlatego, że usuwa z pod nóg naszych mocny grunt niezmienności prawa moralnego, a powtóre, że postępowy rozwój moralności utożsamia do pewnego stopnia z rozwojem mechanicznym. Ogół przeciętny, jeśli do niego dojdą „Źródła moralności”, zwłaszcza ci pospolici zjadacze chleba, ogół jeśli się dowie, że do pewnego stopnia ludzkość postępuje w doskonałości w sposób konieczny, że „choć zarówno moralność, jak prawo długo jeszcze będą czynnikami porządkującymi i utrwalającymi społeczne stosunki życia, zdaje się być pewne, że one w odległej przyszłości znikną, to znaczy zamienią się

skiej socjologii, zapoznać się z ruchem, panującym w Niemczech na polu filozofii nauk normatywnych i humanistycznych. Możeby wtedy szerzej spojrzeć na problematykę etyki, a etologiczne jego badania byłyby bardziej pozytywne. Zamiast książki o publicystycznej raczej wartości, mielibyśmy wówczas zapewne dzieło naukowe, w którym powitalibyśmy cenny nabytek dla naszej ubogiej socjologii" (str. 246).

Wiem, że autor nie jest nowicyuszem na niwie literackiej, że mu bliżej już grobu, niż lat młodzieńczych, i dlatego trudniej mi było, niż kiedykolwiek, wypisywać sąd potępiający na jego pracę. Ale te „Źródła moralności” stały się dostępne dla ogółu. Publicyście katolickiej milczeć nie było wolno. Trzeba było ostrzedz.



VI.

Czy „źródła moralności” nie zawierają w sobie nic dobrego? Zaznaczyłem już niektóre ich dobre strony, zaznaczam jeszcze wartość i przeglądu historycznego, naogół wiernego i dokładnego, wyjąwszy ruch współczesny, o którym niema prawie wzmianki; i twierdzenia, że stadło jednoparzyste było najdawniejszą i najpowszechniejszą postacią; i wykazania wpływu życia rodzinnego, kobiety i dziecka na umoralnienie mężczyzny i t. p. nielicznych poglądów.

Wszelako „Źródła moralności” uznać należy za książkę ze względu na dobro narodowe, szkodliwą oraz pod względem naukowym niekrytyczną.

W prasie niezależnej, t. j. wolnej od sekciarstwa antyreligijnego, spotkałem, w czasie pisania tych uwag, dwie recenzje „Źródeł Moralności”.

W jednej W. Kosiakiewicz (*Prąd* rok 1912, zes. 4, str. 46—49) pisze: „Czytając dzieło Świętochowskiego, pierwsza myśl, jaka się nasuwa jest: jakże mało naukową, jakże mało krytyczną przedstawia się ta praca” (str. 47). „Czyż nie należałoby wprost powiedzieć, że Świętochowski, nie poznał i nie wystudyował kwestyi, którą ma pretensyę rozwiązać. I czy nie wymagałaby sprawiedliwość, aby jego pracę nazwać poprostu dziełem ignoranta?” (str. 47). „Człowiek tak bardzo oderwany od ruchu naukowego współczesnego, żywiący się przeżuwaniami tego, co przed dziesiątkami lat nauczył się za czasów studenckich, obcy troskom głębokim i nieraz tragicznym mężów prawdziwej nauki, biorący za prawdy niezawodne takie domniemania, że człowiek pochodzi od zwierząt, i że niema różnicy pomiędzy prawem natury, a prawem moralnem—taki człowiek nie jest w stanie napisać pracy naukowej” (str. 48).

Znów Fr. Znaniecki w *Przeglądzie filozoficznym* (rok 1912, zes. 2, str. 241 — 246) tak kończy ocenę „Źródeł moralności”: „Szkoda więc, że pan Świętochowski, który wszak niegdyś był jednym z inicjatorów badań etologicznych, bezkrytycznie przejął się duchem pewnych myślicieli szkoły angielskiej, zamiast pogłębić swe założenia, uwzględnić w samym badaniu, nietylko treściście częściowo, metodologiczne wskaźniki francu-